Nr. 37. Warszawa, dnia 30 Sierpnia (11 Września) 1872 roku. **ROK VIII.**

Seryja trzecia.

Cena prenumeraty:

W Warszawie:

rocznie rs. 3 kop.—
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie „ 75
miesięcznie — „ 25

Na prowincyi.

rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

OPIEKUN DOMOWY.

PISMO TYGODNIOWE

sprawom wychowania, rzeczom społecznym, nauce, literaturze i sztuce poświęcone.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u **Leitgebera**; we *Lwowie* u **Wilda Karola** w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Nowy Swiat Nr. 30 (nowy).

POZOWANIE.

Forma, w któréj się ludzkie postępowanie objawia, może być najrozmaitsza, stosownie do tysiącznych usposobień, przekonań i uczuć, jakie władają istotą wewnętrzną człowieka i w tym lub innym kształcie uzewnętrzniać się jéj nakazują. Wymagać tu jednolitości znaczyłoby to samo, co zabijać rozmaitość, na któréj—dla większości—powab życia się gruntuje. Wszystkie atoli przeróżne kształty, z jednéj powinny wychodzić zasady. Jeżeli się dotąd pod tym względem nie ustaliła zgoda, chwiejność przypisać należy przesądom i uprzedzeniom, jakie nieprzejrzaną chmurą mnóstwo kwestyj wielkiéj wagi zakrywają. Zdaje się przecież, że nic prostszego i naturalniejszego niepodobna pomyśleć nad znaną maksymę: wydawaj się takim, jakim jesteś, to znaczy: nie fałszuj moralnéj swojéj natury niczem, coby z nią było niezgodne. Znane jest również zdanie odwrotne: Bądź takim, jakim się chcesz wydawać; ale prawdziwość jego jest bardziéj życzeniem aniżeli definicyją rzeczywistości. A potem przypuszcza już fałsz w samym zarodku; gdyż każe przeinaczać swoję naturę na korzyść téj modły, na jaką ukształcić się pragniemy. W téj chwili zrobiwszy to małe zastrzeżenie, zwracamy się tylko do maksymy poprzednio wypowiedzianéj.

Wydaje się ona nam najprostszą i najnaturalniejszą pod tym jednak warunkiem, że wszyscy za normę postępowania *prawdę* przyjmują; w przeciwnym bowiem razie nigdybyśmy się porozumieć nie mogli. Prawda w myślach, prawda w uczuciach — a jako skutek prawda w czynach — oto wszystko, czego ze strony formalnéj (t. j. zewnętrznéj) po ludziach wymagamy. Że w społeczeństwie po większéj części nie znajdujemy urzeczywistnienia téj zasady—jestto fakt powszechnie wiadomy. Uskarżamy się na kłamstwo i obłudę, na fałsz i przewrotność, na nieszczerość i świętoszkostwo—i mamy racyją. Uskarżać się to nasze prawo; ale zapominać nie potrzeba, że poprawić się — jest naszym obowiązkiem. Przeprowadzenie teoryi prawdy w życiu uważają niektórzy za rzecz niemożliwą. Galanteryja zeszłowieczna i dyplomacyja spółczesna zanadto przyuczyły społeczeństwo do ukrywania swych myśli i uczuć, do postępowania wbrew wygłaszanym zasadom. Ile jest grzechów przeciwko prawdzie, tyleby wad wyliczyć można, wad, które niekiedy uprzedzeni nazywają zaletami. Nie przedsiębiorąc téj olbrzymiéj pracy, obecnie pomówimy nieco o jednéj z form owéj życiowéj nieprawdy—o *pozowaniu*.

Pozowanie najlepiej określić można tem prostem wyrażeniem, że się nie chcemy wydawać tem, czem jesteśmy. Sam wyraz, a może w znacznéj części i pojęcie, przeszło z pracowni malarzy i z desek teatralnych. Źródłem więc jego jest uczucie estetyczne. Istotnie wszystkie przykłady pozowania, jakie w życiu napotykamy, noszą na sobie cechę artystyczną. Wiadomo, że każdy sztukmistrz, czy to poeta czy malarz, musi cokolwiek zwiększać wady i zalety przedstawianych przez siebie postaci, ażeby sprawić efekt zamierzony. Ci, co pozują na arenie życia, nie inną wybierają drogę postępowania: chcą zawsze uchodzić za lepszych, a nawet (czemu dziwićby się wypadało) za gorszych, niż są w istocie; wiedzą bowiem dobrze, że powiększając swe wady — idealizują je; człowiek zły—staje się demonem; a demon ma w sobie coś pociągającego jak przepaść; demon był ideałem bohaterów Byrona. Czegoż więcéj wymagać?.. Nie jestto jedna z najlepszych usług, jakie zwłaszcza szkoła demoniczna w literaturze z powodu swego wielkiego wpływu na społeczeństwo wywarła. Gdyby nie miała innych zalet, musielibyśmy ją przekląć. Nie mówiąc już bowiem o byronizujących poetach i wierszokletach, którym stopień talentu albo naznaczył poczestne miejsce w dziejach naszego piśmiennictwa albo skazał na śmieszność;—ileż w życiu codziennem do niedawna jeszcze widzieliśmy rozczarowanych młodzieniaszków, zabitych na wieki szatańskiem spojrzeniem Loli albo Feli!... Dzisiaj wielokrotne napomnienia, twarde warunki rzeczywistości i konieczność pracy wypędziły z długowłosych głów mrzonki samotnego życia na odludnéj skale albo rozpaczliwego szamotania się z niepoetycznym, nie rozumiejącym wyższych natchnień światem. Więc mniejsza już o nich. Gdybyżto z ich zniknięciem wszyscy pozujący zeszli z moralnego horyzontu naszego społeczeństwa!... Zawodna nadzieja! Od ucznia, pozującego na studenta uniwersytetu, studenta, pozującego na profesora, od profesora, pozującego na ministra oświecenia—ileż to najrozmaitszych jednostek, które niezadowolone

---

ŚLADY ŻYCIA.

XXII.

Tyle życia, ile.... w czynie.

Otrzymaliśmy już tedy prospekt na *Bibjotekę umiejętności przyrodniczych*. Pod tym tytułem wychodzić zacznie w Krakowie pismo poświęcone naukom przyrodniczym, w zeszytach miesięcznych po pięć arkuszy, z kroniką i bibliografiją nauk przyrodniczych na okładce. Mają to być tłomaczenia z obcych języków dzieł popularnych przyrodniczych, których literatura nasza wcale nie posiada, a w które angielska, włoska i niemiecka tak obfituje.

Całkowitego programu wydawnictwa prospekt nie podaje; powiada tylko, że między innemi poda w tłomaczeniu prace następujących uczonych: *Tyndall, Chambers, Odling, Huxley, Johnston, Lewes, Lyel, Claude Berard, Naquet, Onimus, Delschamps, Grimaux, Burmejster, Kleiu, Wundt, Heimholz, Secchi* i t. d. i t. d.

Redakcyją objął znany z kilku prac na tem polu *Ludwik Masłowski*. Między innemi przypominamy, że on jest w części tłomaczem *Dziejów Utworzenia przyrody Haeckela* i autorem *Prawa postępu!* którego rozbiór dawniéj już pomieściliśmy w naszém piśmie. Udział w komitecie redakcyjnym przyjęli dotąd z wielu zaproszonych: Dr. Skiba, docent uniw. jag. —Dr. Nowicki, prof. uniw. jag.—Dr. Czyrniański, prof.—Dr. Radziszewski, prof. uniw, lwow. — Dr. Karliński, prof. uniw. jag.— K. Preciszewski.

Wydawnictwo podejmują *W. Tomaszewicz* i *A. Dygasiński* Szczęść Boże ich poczciwemu i tak pożytecznemu wydawnictwu.

Dodać jeszcze musimy, że cena w drodze prenum. bardzo przystępna — rocznie złr. 6 w. a. — potrzeba bowiem zważyć, że pismo to wymaga wielu drzeworytów, pomnażających więcej jak w dwójnasób koszta druku. W królestwie ajencyją główną do zbierania prenumeraty wzięło pismo: *Przyroda i Przemysł.* Cena prenumeracyjna wynosi rocznie rs. 3 kop. 60, półrocznie rs. 2 a kwartalnie 1 rs. Prenumeratorowie *Przyrody* i *Przemysłu* płacą *rocznie* za Biblijotekę tylko 3 rs. Pierwszy zeszyt ma wyjść *1-go października* roku bieżącego.

* * *

Pięknym paniom naszym dbającym nietylko o zgrabność nóżki ale i o zdrowie (od którego nawiasem mówiąc w znacznej części pięknosć zależy) zalecamy pilne odczytanie ładnie napisanego artykułu p. *Szokalskiego* w Tygodniku Illustr. (Nr. 240 i 243), gdzie *naocznie* się przekonają (na dołączonych rysunkach) o szkodliwości... wysokich obcasów i co gorsza (widzę już nieprzyjazne zmarszczenie brwi)... korków. Cóż robić? Gotówem się narazić na gniew nawet, zachęcając do pójścia za radą szanownego doktora, byle tylko zwyciężyła higijena!... Zresztą narażać się łatwo, kiedy pierwsze gromy gniewu spaść muszą na samego autora.... Nauka jest nieubłagana i prędzej czy później musi wywalczyć sobie jakieś stanowisko w wyobrażeniach pań naszych.... które dotychczas dość często uważają ją za coś barbarzyńskiego, co rozwiewa ich illuzyje, rozczarowuje serca i... wyrzuca korki z eleganckich trzewików.... Dziwne zestawienie! Bóg wie, dlaczego mi się ono nawinęło... nie chciałbym, ażeby złośliwi wyciągnęli stąd niekorzystne wnioski co do usposobienia pań, do których słowa moje zwróciłem, jakoby illuzyje, serce i... nie, nie dokończę; bo któżby śmiał przypuszczać!... Zgadało się to przecież tak tylko, przypadkowo.... *à propos des bottes*....

* * *

ze swego obecnego stanu, pną się na szczudłach pozy i drapowania się ku szczytom, nigdy może niepodobnym dla nich do osiągnięcia... Wstyd nieuctwa pobudza do udawania uczoności, ażeby pozorem zastąpić smutny stan swéj głowy; wstyd słabości lub zupełnéj niemocy, nakazuje przybierać pozę obrażonéj dumy. Ten ostatni objaw zaobserwować się najczęściéj daje u przedstawicielek płci pięknéj, która skazana na zaniechanie samodzielnych kroków, drapuje się w suknię królowéj, zdecydowanéj na zniesienie wszystkich bólów (częstokroć urojonych) byle pokazać niewdzięcznikowi, że naj zupełniéj oń nie dbają. Serce wyrywa się ku ukochanemu; ale trzeba pozować na obojętną, a nawet na zalotną, gdyż tak każe przyzwoitość i duma kobieca.... Niejeden młodzieniec któremu się udało rozkochać dwa serduszka z parafii drapuje się na wielkomiastowego Lowelasa i Don-Juana; to tak w obec dam dodaje uroku!... Są-to wszakże sprawy niewiele znaczące; obchodzą one tylko jednostki w nich zainteresowane; jestto wylew małego strumyka na wsi; powodzi nie sprawi; chociaż bądź co bądź w interesie ogólnego charakteru narodowego życzyćby należało, ażeby i te małe fałsze znikły z obyczajów naszych.

W zakresie atoli działalności publicznéj złe daleko większe przybiera rozmiary. Jeżeli ktoś potrafi złożyć do kupy kilkanaście szumnie brzmiących frazesów, starając się dźwiękiem wyrazów jak można najlepiéj wytłomaczyć nieobecność myśli—pozuje zaraz na wielkiego myśliciela w sferze krytyki, estetyki lub co najważniejsza w kwestyjach społecznych. Wielkich krytyków i jeszcze większych pisarzów socyjalnych mamy poddostatkiem; szkoda tylko, że żadnéj korzyści społeczeństwu nie przynoszą, bałamucąc pojęcia i podając wymysł rozmarzonéj i napuszonéj wielkością swoją głowy za ostateczne wyniki wiedzy. Końcem stalowego pióra rozstrzygają oni najzawilsze kwestyje czasu, nie troszcząc się wcale, co na ich frazesy powie zdrowy rozsądek lub wiedza prawdziwa. Absolutni w swych wyrokach, omylność przypuszczają u wszystkich oprócz u samych siebie; oni jedni są nieomylni. Przemytnicy fałszu lub twórcy samorodnéj filozofii nieoglądającéj się na nic i na nikogo, wzruszają posady społeczeństwa dla zadowolnienia swego samolubstwa, dla postawienia na swojem; dla pozowania na wielkich.... Gdyby się nawet najdowodniéj przekonali, że wygłoszone przez nich zdania są błędne, nie będą mieli odwagi powiedzieć—omyliłem się; bo w cóżby się zamieniła ich wielkość. Na pewnych punktach są granitowi, na tych właśnie, gdzie raz już popełnili omyłkę.... Przy huku trąb głoszą, że kwestyje społeczne są nadzwyczaj wielkiéj wagi i że bez nauki do rozstrzygnięcia ich przystępować nie można, a sami jak najlekkomyślniéj wszystko, ale to wszystko jednym zamachem pióra rozcinają. Pozowanie i zawsze pozowanie!

Pozowanie na wielkich ludzi nie kończy się na saméj frazeologii. Nieulękli przenoszą je do praktyki życia codziennego. Wyraża się ono we wstręcie do zajmowania posad po małych miasteczkach, każden pcha się do wielkiego ogniska oświaty. Zapytujemy po co? Ażeby czerpać tam naukę, kształcić swój umysł, który na prowincyi nie znajduje odpowiedniego pokarmu; uprawiać swe wyższe zdolności, które inaczéj na partykularzu zmarniećby musiały? Jestto pytanie, na które tonem powyżéj wspomnianych krytyków mo żnaby odpowiedzieć jednem słowem: *nie;* i przytoczyć kilkanaście innych powodów mniéj chwalebnych albo zupełnie nieuzasadnionych. Nie mając pretensyi do wydawania tak doraźnego wyroku, wolimy się ograniczyć mniéj efektowną odpowiedzią. Wielu istotnie potrzeby umysłowe zmuszają do zostania w wielkiem mieście; innych okoliczności twardsze od wszelkich myśli poświęcenia; innych wreszcie chęć pozowania. Nie potępiamy więc wszystkich, którzy pracować pragną w Warszawie, lub innem wielkiem mieście, nie możemy przecież przemilczeć o tych, którym partykularz wydaje się zbyt skromną areną do *popisów.* Popisy te zarówno mieć mogą wyrażenie w toalecie i manijerach jak i w praktykowaniu dowcipnych anegdot i udatnych kalemburów; chociaż nie podobna również zaprzeczyć, że są inni mniéj wymagający amatorowie, którzy wzdychają tylko do pozowania w małem miasteczku i w powiecie. Tam śmieszność uchodzi częstokroć za modę; głupstwo za dowcip, a czytanie romansów za kwalifikacyją na uczoną lub uczonego. Biczowano już ich nieraz w powieściach i humoreskach—pozostawmy ich w spokoju; niech tryjumfują.

Podobna chęć pozowania, uchodzenia za to, czem się nie jest, ogarnia bardzo często całe klasy społeczne, a nawet cały naród. Wtedy rzecz to najsmutniejsza i najzgubniejsza pod słońcem, chociaż ma swoje strony komiczne. Tutaj policzyć musimy smutne objawy skoków towarzyskich po drabinie znaczenia i zbytku. Kto jest na pierwszym szczeblu, chciałby się wznieść do środkowego, a kto stanął już w środku, życzyłby sobie być na wierzchu i tak coraz daléj, dopóki bolesna katastrofa nie zrzuci ich na niziny. Robotnicy pozujący na bogatych mieszczan, a bogaci mieszczanie na arystokratów—są dość często napotykanym objawem. Podupadła arystokracyja, wstydząca się pracować pozuje na istoty nieocenione „zapoznane“, którym należą się wszystkie zaszczyty; — a dla nich żaden nie przypadł w udziale. Pawie piórka, któremi ci wszyscy pozujący przystrajać się lubią, albo kosztują bardzo drogo i przyprowadzają całe rodziny do upadku; albo też są czczą ozdobą, śmieszną dla rozumnych, niedorzeczną dla pracowitych. Śmieszna ich strona na tem polega, że pojęcia pozujących są ciasne a wymagania ogromne; stąd nieumiejętność zastosowania środków do celu i na każdym kroku omyłki.

Jeżeli wreszcie zastanowimy się nad pozowaniem narodowem, zaraz przyjdzie nam na myśl gaskonada i chełpliwość Francuzów, mniemana równość wszystkich u nas (pozowanie na magnatów i królów — „i szlachcic nazagrodzie...); obecna pycha Kulturträgerów Niemców i t. d.—Każdy naród zaślepia się w sobie, siebie uważa za punkt kulminacyjny doskonałości, swoję wiedzę i pracę ceni najwyżéj, innemi pomiatając. Kto zna zależność jednego narodu od drugiego, jednej cywilizacyi od drugiej — ten jasno zrozumie niedorzeczność takiego pozowania, takiego okłamywania siebie samego.

Wszyscy chcemy być wielcy, uwielbiani, nagradzani, sławieni i noszeni na rękach; wszyscy pragniemy wygody, zaszczytów i bogactw; wszyscy łatwym cieszylibyśmy się zyskiem— a praca, a prawda?... To praca cicha, mozolna, długa, która daje dobrobyt; to prawda nieosłonięta iluzyjami, szczera, istotna, które winne być celem działalności jednostki i społeczeństwa;—ach! pozostawiamy je biednym, cierpiącym, smutnym, którym pozowanie w głowie nigdy nie postało. Jesteśmy zaślepieni. Nierozumiemy prawdziwego stanu

---

Wszyscy korespondenci z Galicyi do pism Warszawskich, narzekają na ogromne zacofanie téj prowincyi na polu oświaty. Urzędowe szczegóły, jakie obecnie mamy pod ręką *), odnoszące się wprawdzie tylko do zakładów wyższych i średnich w Galicyi, są jednak dostateczne do stwierdzenia powyższéj opinii.

Galicyja z wyższych instytucyj naukowych posiada: 2 uniwersytety: w Krakowie i we Lwowie i 2 zakłady techniczne t. j. akademiją techniczną we Lwowie i instytut techniczny w Krakowie.

Oba uniwersytety posiadały w roku 1870 1,624 słuchaczów, ponieważ zaś Galicyja posiada 5,418,016 mieszkańców, przeto 1 słuchacz przypada na 3,336 mieszkańców. Pod tym względem Galicyja zajmuje jedno z pośrednich miejsc między krajami europejskiemi;—w Hiszpanii bowiem przypada 1 uczeń uniwersytetu na 1,500 mieszk., w Belgii 1 na 2,190, w Niemczech (bez Pruss) 1 na 2,230, w Prussach 1 na 2,500, w Szwecyi i Norwegii 1 na 2,550, w Holandyi 1 na 2,750, we Włoszech 1 na 2,770, w monarchii austryjackiéj 1 na 3,000—w Szwajcaryi 1 na 3,600, we Francyi 1 na 3,800, w Rossyi 1 na 10,200 mieszkańców.

W zakładach technicznych było w r. 1870 razem 878 uczniów, z tych instytut w Krakowie miał 265, akademija techniczna we Lwowie 613.

Szkół średnich (do których sprawozdanie powyższe zalicza gimnazyja filologiczne i realne, tudzież szkoły realne) jest w całéj Galicyi 25. W r. 1870 było w nich 8,323 uczni, czyli jeden uczeń przypada na 650, a jedna szkoła średnia na 216,770 mieszkańców.

Jeżeli zważymy, że są kraje, w których nie na 700 jak w Galicyi, ale na 200 mil kwadratowych; nie na $2^1/_2$ miliona, ale na 1 milion mieszkańców, jeden uniwersytet przypada, nie powiemy że 2 uniwersytety są zawiele na Galicyję. Gorzéj jednak rzecz się ma ze szkołami średniemi. Z wyjątkiem północnych i mało zaludnionych krajów, nigdzie w Europie szkoły średnie nie są tak rzadkie jak w Galicyi, gdyż nie ma kraju w Europie (prócz Rossyi), w którymby na 216,770 mieszkańców zaledwo jedna przypadała szkoła średnia. Stosunki Galicyi (jak mówi sprawozdanie) są pod tym względem bardzo smutne, rzec można wyjątkowa. Gdyby Galicyja nawet chciała się zrównać z Przedlitawiją, musiałaby mieć szkół średnich dwa razy więcéj, jak ma obecnie.

Szczegóły bliższe odnoszące się do uniwersytetów, są również ciekawe. W r. 1870 uniwersytet krakowski posiadał 557 słuchaczów, lwowski 1,067. W uniwersytecie podział młodzieży podług narodowości jest następny: w Krakowie na 100 słuchaczy było 97,2 polaków, 1,6 rusinów, 0,5 niemców, 0,3 czechów, 0,2 słowian południowych, 0,2 węgrów— we Lwowie zaś było na 100 uczni 45,0 polaków, 41,4 rusinów, 13,4 niemców, 0,2 rumunów. W obu uniwersytetach największa ilość słuchaczy uczęszcza na wydział prawny,— gdyż w Krakowie 180, we Lwowie 522. Inne zaś wydziały przedstawiają skromniejsze cyfry. I tak na wydziale teologicznym w Krakowie było 62, we Lwowie 383,—medyko-chirurgicznym w Krakowie tylko 191, gdyż we Lwowie wydziału tego nie ma, na filozoficznym w Krakowie 124, we Lwowie 182. Z przypatrzenia się tym cyfrom wynika, że teologija po nauce prawa liczy najwięcéj zwolenników,—za to medycyna jest dość upośledzona. Na wydział teologiczny, szczególniéj we Lwowie, uczęszcza przeważnie uboga młodzież rusińska, gdyż uważa teologię za przedmiot chlebodajny. Ponieważ jednak duchowieństwa rusińskiego w Galicyi jest tak dużo że nie ma go gdzie pomieszczać, a brak np.

*) Dodatek miesięczny do Gazety Lwowskiéj roku bież. za m. Kwiecień.

rzeczy. Nie zastanawiamy się nad sobą. Nie krytykujemy sie nawzajem szczerze, sumiennie, bez uniesień, bezosobistości. Dlatego pozowanie tak się rozpowszechniło. Zdaje się jednak, że niedługo panować będzie! Dawniej, kiedy ukształcenie było udziałem ograniczonej liczby jednostek, drapowanie się na bohatera, mędrca, publicystę pierwszej próby było rzeczą nietrudną. Ludzie nie oświeceni są łatwowierni; nic więc dziwnego, że dawali się uwodzić pozorom, że brali miedź za złoto. Dziś jest już trochę inaczej. Ukształcenie rozchodzi się powoli na większe masy; sąd krytyczny w społeczeństwie wyrabia się pod każdym względem, we wszystkich szczegółach życia. Jestto niewyraźne; ale daje się już uczuc. Pozowanie w takim składzie rzeczy musi zwolna tracić grunt pod sobą; bo śmiesznym byłby ten, ktoby chciał pozować nawet wtedy, kiedy będzie przekonany, że wszyscy na niewłaściwości takiego kroku poznają się odrazu. Cała satysfakcyja moralna, jaką pozowanie dać może, polega na tem, że pozujący choć na chwilę uchodzi za to, czem chce się wydać, że ludzie w błąd zostają wprowadzeni i w dobrej wierze wszystkiemu potakują. Jeżeli możność podobnego przypuszczenia zniknie, nikt już pozować nie zapragnie. Każden przeniesie bezwątpienia trwałą szczerość aniżeli chwiejny fałsz, z którego tę tylko otrzyma korzyść, że zostanie wyszydzony. Wszystkie figle dyplomacyi na nic się wtedy nie zdadzą. Powinniśmy na każdym kroku demaskować pozujących bo tym jedynie sposobem zdołamy dojść do przeprowadzenia w życie zasady, którąśmy wyrazili na początku: wydajmy się takiemi jakiemi jesteśmy. Jestto zasada oczywiście tylko formalną, tycząca się więcej zewnętrzności; nie orzeka o wartości naszej wewnętrznej, moralnej; ale jest już krokiem naprzód na drodze udoskonalenia; gdyż oznacza chęć *urzeczywistnienia prawdy w życiu;* wyrzuca z niego wszystko, co jest niedorzecznem i nikczemnem: fałsz, kłamstwo, obłudę i podłość.

RYWAL MĘŻA.

przekład z francuskiego.

(*ciąg dalszy.*)

Byłem wzruszony tem wynurzeniem, bo to zdarzyło się pierwszy raz w życiu hrabiego, który zwykł był ukrywać cierpiena swoje pod maską spokoju i wesołości, jak wszyscy ci co prawdziwie czują.

— Jednak jestem przekonany panie hrabio, że jeżeli w wychowaniu pańskiej córki, znajdują się jakie usterki (wszak i słońce ma plamy), nie może to z przyczyny niedostatku macierzyńskiej opieki, ale przeciwnie, że się tak wyrażę po doktorsku, zbytniej dozy drażliwości i czułości kobiecej, które pan nie wiedząc może o tem, usiłujesz w niej rozwijać.

— Co chcesz przez to powiedzieć — zapytał ze zdziwieniem hrabia?

— To, że matki lękające się synów swoich uczynić tchórzami, czynią z nich zuchwałych śmiałków; ojcowie zaś w obawie, aby córek nie wychować po męzku, czynią z nich nerwowe i mdlejące kobietki. A najwięcej obawiam się tego, że nadmierną troskliwością swoją, przyzwyczaisz pan córkę do tak wyłącznego zajęcia się nią, do starań tak drobnostkowych, że usuwając bez przerwy wszystkie cierpienia z jej drogi, zabijesz w niej wszelką samodzielność, do tego stopnia, że o własnej sile nie potrafi iść przez życie; nakoniec powiem panu, że żaden mąż nie będzie w stanie odpowiedzieć wymaganiom córki takiego ojca jakim pan jesteś — ale i to być może, że hrabianka Oliwija nigdy za mąż nie wyjdzie.

— Niech ją Bóg broni od samotności w życiu,—odrzekł hrabia,—to jest moja codzienna modlitwa.

Od tego czasu nie widziałem hrabiego przez kilka lat. Na prostą moją wzmiankę, że wieś lepiej posłuży Oliwii niż miasto, opuścił ją natychmiast, bez względu na przyzwyczajenie przepędzania zawsze czterech zimowych miesięcy w Paryżu, pozbawiając się przez to jedynej swojej przyjemności słuchania symfonij w konserwatorium muzycznem. Jeden z moich przyjaciół, który odziedziczył po nim lożę, okazał szaloną radość z powodu jego odjazdu. Prawdziwi miłośnicy muzyki za złe mu tego nie wezmą.

Często otrzymywałem ze wsi zaproszenia od hrabiego Jana; ale my doktorzy nie mamy wakacyi—i odpowiadałem zawsze, że tylko w takim razie przybędę do niego gdy Oliwia potrzebować będzie mojej pomocy.— Jeżeli tak, nie przyjeżdżaj wcale odpisywał mi zwykle.—Zobowiązałem się jednak udzielać jak najwięcej szczegółowych przepisów higenicznych i kupić mu przenośną apteczkę. Hrabia ze swej strony zaopatrzył się w przyrządy gimnastyczne, i odbył prawdziwą pielgrzymkę do wszystkich składów zabawek, zanim wyjechał do swoich dóbr z córeczką, mającą wówczas sześć lat, z guwernantką angielką, osobą bardzo dobrą i posiadającą najchlubniejsze świadectwa, której dawał królewskie honoraryjum i wreszcie, z pięcioma, czy sześcioma służącymi starej daty, którym to rodzaj sług po dziś dzień znajduje się jeszcze w niektórych rodzinach arystokratycznych, jakby na przekór wszystkim rewolucyjom świata.—Upłynęło tak dziewięć lat, podczas których odbierałem listy hrabiego co tydzień. Listy były tem dla mojej duszy; czem jest zdrowy żołądek dla ciała. Szkaradne obrazy nędzy moralnej i upodlenia jakie nam Paryż codziennie przedstawia, ta pycha bez granic, ta giętkość i przedajność sumienia, słowem wszelkiego rodzaju brzydota moralna, o którą z obowiązku mego powołania, ocierać się muszę; tak mi obmierzła i znużyła mię, że ta korespondencyja, w której przebijało tyle uczuć szlachetnych i wzniosłych, taka czysta miłość ojcowska, była dla mnie tem, czem jest smaczna i czysta woda dla spragnionego.

Kiedy Oliwija doszła lat piętnastu, trzeba ją było przywieźć do Paryża i w świat wprowadzić.

We dwa dni po ich przyjeździe ze wsi, otrzymałem bilecik zawierający następujące słowa:

„Kochany doktorze przyjedź do nas jutro na obiad, będziemy tylko we troje, i zobaczysz moje arcydzieło".

Tak często byłem świadkiem zaślepienia rodzicielskiego, że i tym razem obawiałem się czy hrabia nie ma zbyt wysokiego pojęcia o swej jedynaczce.

Jednak sądzę, że nie mógł zanadto jej

---

lekarzy czuć się tam daje, zachodzi więc gwałtowna potrzeba utworzenia wydziału lekarskiego przy lwowskiej wszechnicy.

W zakładach technicznych, podział uczniów pod względem narodowości jest jeszcze ciekawszy. W Krakowie było na 100 słuchaczy 96,8 polaków, 1,7 rusinów, 1,2 czechów, 0,3 słowian południowych — we Lwowie zaś na 100 było: 62,3 polaków, 28,3 niemców, 7,8 rusinów, 0,8 czechów, 0,4 słowian południowych, 0,4 wszystkich innych. Charakterystycznem jest, że rusini tak nielicznie są reprezentowani w zakładach technicznych — pod tym względem żadna inna narodowość austryjacka nie zrówna się z niemi.

Szczegóły powyższe przyprowadzają nas do następnych wniosków: 1) że teoryja przeważa w tamtejszém wykształceniu, 2) że urzędomanija w Galicyi panuje w całéj sile, 3) że zawody najpożyteczniejsze jak techników, nauczycieli, lekarzy, najmniéj jeszcze pociągają galicyjską młodzież.

* * *

Bluszcz, dość pilnie śledząc rozwój środków ukształcenia kobiecego na Zachodzie, w N-ch 34 i 37 podaje ciekawe wiadomości o *Szkole rysunków dla kobiet w Paryżu.* Założona podług wskazówek i pod kierunkiem znakomitej malarki francuskiej Róży *Bonheur*, daje sposobność *niezamożnym* głównie kobietom nauczenia się rysunku, który jest podstawą wielu bardzo zyskownych zajęć jak np. malowania na szkle i porcelanie, malowania wachlarzy, retuszowania fotografij, kolorowania rycin i obrazków świętych, litografii, drzeworytnictwa. Co więcej, nawet hafciarka, koronczarka, a szczególniej *kwiaciarka* wtedy tylko dochodzą do doskonałości w swoim zawodzie, jeżeli znajomość rysunku i kolorytu czyni ich pracę poprawną i wyższym smakiem podniesioną do wyrobu artystycznego. W szkole tej przyjmują się uczennice od lat dwudziestu do dwudziestu pięciu i przechodzą trzy klasy. Pierwsza klasa mieści w sobie uczennice najwyżej uzdolnione, druga średnie, trzecia — początkujące. W pierwszym i drugim oddziele uczennice muszą wykonywać rysunki z gipsów, z rycin, z żywych wzorów, wreszcie z pamięci i wyobraźni—piórem i tuszem; w klasie trzeciej usuwają się z programu studyja z natury. Godziny nauki trwają od dziesiątej do dwunastej i od pierwszej do trzeciej. Odsyłając po resztę interesujących szszegółów do samego Bluszczu, powiemy słów kilka à propos estetycznego wykształcenia kobiet. Nie ulega, zdaje się wątpliwości, że kobiety nasze mają smak naturalny bardzo dobry i nader łatwo przyuczają się do oceny utworów sztuki. Malowanie w klasach średniej nawet zamożności jest rozpowszechnione; utalentowanych malarek mamy kilka. Uzdolnienie to należałoby spożytkować w celu zapewnienia kobietom środków bytu samodzielnego, niezależnego od przypadłości losu i... nie zawsze pewnego męża. Kwiaty wyrabiane w fabryce p. *Szymkiewicza*, jak nas zapewniają w niczem nie ustępują towarowi francuskiemu; zakład fotograficzny panien *Bartkiewicz* ma się cieszyć od lat już kilku bardzo szczęśliwem powodzeniem. Przykłady te dowodzą, że niektóre gałęzie przemysłu jak fotografija, litografija, drzeworytnictwo, fabrykacyja kwiatów, kolorowanie obrazków, które do nas masami z Bawaryi sprowadzają, itp. mogą u nas znaleść praktyczne zastowanie i przynieść znaczny zarobek. Dotąd rysunek i malarstwo były u nas powiększej części środkiem jedynie popisu, środkiem, krórego poszedłszy za mąż zaprzestawało się całkiem używać; malowaliśmy kwiatki, drzewka, pieski i pejzaże dla zabicia czasu. Teraz należałoby nam zwrócić się do praktyki; dać uboższym możność zapracowania na chleb; zastąpić zabawkę—korzyścią. W prawdzie przed kilku laty p. *Maryja Łubieńska* założyła w Warszawie Szkołę rysunku dla kobiet, ale o niej głucho, jakby nie istniała. Dlatego z niecierpliwością oczekujemy bliższego o niej sprawozdania, które Bluszcz zapowiedział, gdyż tym jedynie sposobem będziemy mogli się przekonać, jakie dotychczas korzyści przyniosła i jakie jest usposobienie ogółu kobiet, albo też jakie były przeszkody, które rozwinąć się jej nie dozwoliły.

wychwalić: zdawało mi się że widzę krew krążącą pod tą powłoką bieluchną i delikatną; piękne ciemno bląd włosy zwijające się w loczki w około główki ślicznego kształtu, otaczały jakby koroną czoło jasne rozumne i poetyczne; jej wielkie czarne oczy w podłużnej oprawie, miały ten wyraz słodki i głęboki, który tyle kobiet stara się naśladować — różowe małe usteczka ukazywały w dziecinnym jeszcze uśmiechu dwa sznureczki pereł, nos, w swej linii cokolwiek w łuk zgiętej, miał coś królewskiego, a rączka więcej różowa jak biała zachwycała swoją małością. Wyraz tej twarzyczki zadziwiał ruchliwością; już to miała minkę kapryśnego dziecka, już aniołka z nieba.

— Uwielbienie moje nie uszło uwagi hrabiego. — A więc doktorze powiedział czy cię zwiodłem?—Odpowiedziałem mu co w istocie myślałem, że piękność hrabianki Oliwii przeszła wszelki pochwały. Ona ma jeszcze więcej wdzięków dodałem — cudowny i rzadki dar natury, głos piękny i dźwięczny nawet w zwyczajnej mowie.

Zachwycające było to porozumienie, ta harmonija między ojcem a córką, mieli oni jedno dla drugiego nieustanne staranie bez najmniejszej przesady, i jak on pysznił się z takiej córki, ona pyszniła się z takiego ojca.

Hrabia nie zestarzał się wcale, — powiedziałem Oliwii, a oczy jej czarne zabłysły urazą. — Zestarzeć się miał on, mój ojciec! ależ on będzie zawsze młodym. Zestarzeć się! o to szkaradny wyraz! i przy tych słowach ujrzałem łzy w jej oczach.

Po obiedzie, hrabia Jan prosił córkę żeby zaśpiewała. Usiadła do fortepijanu natychmiast i zaśpiewała religijną pieśń Cherubiniego, co za piękny głos! co za piękna metoda! lecz im dłużej śpiewała, tym humor mój stawał się posępniejszy. Po ukończeniu podała ojcu czoło do pocałowania ukłoniła mi się wdzięcznie i wybiegła.

— No cóż kochany doktorze — spytał się hrabia Jan, nie jesteś olśniony tą muzyką i tym głosem?

— Powiem ci szczerą prawdę panie hrabio, odpowiedziałem mu, dziecię twoje wzruszyło mnie głęboko, ale.... ona śpiewa zanadto dobrze, jest za piękną, zanadto czułą, ma tylko jedną wadę — doskonałości, i pytam się sam siebie, czy zwyczajne pensyjonarskie wychowanie nie lepsze byłoby dla niej jak ta edukacyja wyszukana, w której zanadto rozwinięta jej czułość i wyobraźnia, co według mnie zawsze jest szkodliwem, jeżeli nie dla zdrowia, to dla szczęścia. Przyzwyczaiłeś ją pan do miłości bez granic, w życiu dałeś jej poznać tylko pobożność i cnotę, uwielbienie i uprawianie sztuki i w tym koncercie jaki jej dajesz od lat piętnastu codziennie, żadna fałszywa nuta nie uderzyła jej ucha: — lecz kiedy z dziecka została dziewicą, a dziewica staje się kobietą, nie będziesz mógł przecież sprowadzić anioła z nieba żeby ją zaślubił. Zaślubi człowieka, a powiedzieć człowiek, mężczyzna w naszym wieku osobliwie, jestto trywialnie powiedzieć: samolub.

— Cierpliwości, cierpliwości, — odrzekł hrabia, nie odbieraj mi odwagi: mam nadzieję że znajdę w naszej poczciwej starej szlachcie jakiego młodego rycerza godnego jej, a ja będę jego najpokorniejszym sługą, jeżeli tylko córkę moją będzie uwielbiał, tak jak na to zasługuje.

Nie mówiłem nic więcej, ale nie zmieniłem mego zdania, i rola męża Oliwii, zdawała mi się niesłychanie trudną rzeczą.

W dwa lata po tej rozmowie znajdowałem się w kościele Ś-go Tomasza z Akwinu na ślubie hrabianki Oliwii z hrabią Malepoia. Kiedy młoda para przechodziła przez kościół do wielkiego ołtarza, słyszałem szmer uwielbienia i półsłówka— jakże piękny, jakaż piękna, jaka szczęśliwa—szeptano.

Wszystkie życzenia hrabiego Jana spełniły się co do tego małżeństwa, hrabia Maksymiljan de Malepoia, był również jak żona jego ze starej szlachty bretońskiej; jego ojciec jest jednym z walecznych, co odprowadzali odważną księżnę de Berry do Vandei; później zamknął on oczy Karolowi X. Nie jestem zwolennikiem legitymistów, wiecie otem dobrze, ale mam wielką sympatyją dla tych starych wiernych wassalów. Hrabia Maksymiljan przepędził wiele lat w Graetz przy księciu Bordeaux, który był wówczas w przyjacielskich stosunkach z młodym cesarzem Austryi. Wśród znakomitości świata młody hrabia jest jak u siebie, a świetnemi przymiotami przewyższa wielu. W czasie, w którym go poznałem, miał zaledwie 24 lat, był on jak się wyrażano powszechnie, kroniką lub encyklopedyją chodzącą. Ze wszystkich przyzwyczajeń młodych ludzi miał tylko jedno, palenie do którego przywykł w Niemczech. Obdarzony niezwykłą pamięcią, nigdy nie zapomniał tego co raz usłyszał i jakkolwiek do popisywania się nie przywiązywał wielkiej wagi, potrafił jednak oddać z należytemi odmianami, akcent gardłowy Hiszpanów, miauczący Anglików, ciężki i poważny Niemców i wszystko to z niezmierną łatwością jakby z niechcenia li tylko dla przypomnienia sobie dawnych studyjów.

Złączony ścisłym węzłem szczerej przyjaźni z synem jednego z najpierwszych dyplomatów za Restauracyi, znał wszystkie historyje gabinetowe, wszystkich dworów intrygi. Ktoby go słuchał z zamkniętemi oczami nie odgadłby nigdy jego wieku; znał tak dobrze najmniejszą rzeczkę w Ameryce jak paryżanin zna Saint-Cloud: bogactwa i obyczaje narodów były kwestyjami obchodzącemi go od pierwszej młodości i pomimo całego swego przywiązania do Burbonów uchodził niekiedy w Graetz za rewolucyjonistę z powodu nadzwyczajnego zamiłowania w naukach postępowych.

Jednak najwięcej zajmowały go nauki przyrodzone, mając albowiem stosunki z kilkoma professorami botanicznego ogrodu, słuchał ich wykładów, a mianowicie professora Mirbel znakomitego naturalisty, od którego bardzo wiele korzystał.

Aż do chwili w której spotkał Oliwję, nauka była jego jedyną kochanką, jedyną namiętnością.

Ci młodzi ludzie pokochali się od pierwszego wejrzenia, co się przecież zdarza nietylko w życiu książkowem i dla tej miłości wielkiej co ogarnęła całą jego istotę, hrabia Malepoie przeniewierzył się nauce. Majątki ich były jednakowe, nazwiska równie arystokratyczne.

Stara księżna de Maubeuge z wielką wystawnością i etykietą pojechała prosić hrabiego Jana o rękę jego córki, a kiedy w dwie godziny później wróciła z odpowiedzią pomyślną, młody Maksymiljan zemdlał ze wzruszenia.

Od tej chwili poświęcił on dla Oliwii wszystkie skarby swego bogatego umysłu, wszystkie siły duszy i serca, słowem wszystkie minuty, dnie i godziny życia. Miłość przetworzyła go: z chemika został poetą, zaczął tworzyć wiersze, śpiewał dla niej i z nią razem i śpiewał dobrze. Tak więc młoda hrabina, którą Bóg obdarzył ojcem jakich mało na świecie, dostała męża wybranego wśród tysięcy. Za wszystkie inne kobiety piękne i młode, a często smutne i samotne w życiu używała szczęścia bez granic.

Piękność jej rozkwitła wspaniale w tym nieprzerwanym ciągu szczęścia.

W pierwszych latach małżeństwa, podróżowała po całej Europie wraz z ojcem i mężem, wszędzie spotykały ją hołdy, uwielbienia a jej piękność przewyższała swym blaskiem najświetniejsze gwiazdy salonów. Mąż nie opuszczał jej nigdy, zdawało się że jakaś siła nieprzeparta przykuwała go do niej, utrzymywał on, że życie jego zaczęło się dopiero od chwili w której ją ujrzał, urzeczywistniali oni i nawet przewyższali wszystkie ideały małżonków opiewanych przez naszego znakomitego Micheleta w jego pięknym dziele, o miłości.

Zawsze chodzili razem, czytywali we dwoje, Maksymiljan bowiem od czasu poznania Oliwii porzucił bez żalu swoje studyja naukowe. Ależ bo i kiedy młody hrabia mógł znaleźć czas do pracy? Oliwija aby się przypodobać mężowi trzy razy na dzień zmieniała toaletę, a on miałżeby serce nie podziwiać, tylu starań przedsiewziętych dla niego? Grywała zwykle dwie godziny dziennie, li tylko dla męża, czyliż mógł być tak nieczułym i nie słuchać uważnie podczas tych dwu godzin, po upływie których trzecią spędzał zwykle u jej stóp na podziękowaniach. Nie pytam się was kochani słuchacze, czy kiedy kochaliście — co do mnie przyznaję, że raz w życiu popełniłem to szaleństwo, trwało ono całe trzy miesiące, podczas których, wyprawiłem na tamten świat mnóstwo moich pacyjentów i o mało nie straciłem całej mojej praktyki. Tak przeszło sześć lat w nieprzerwanem szczęściu. Jedna tylko chmurka mroczyła jasne niebo młodych małżonków, brakowało im dziecięcia. — Co do mnie, nie życzyłem go im wcale, hrabina Oliwija niezbyt była szczęśliwą w całem swojem życiu, jej ojca i męża można było zaliczyć do ośmiu cudów świata, obawiałem się przeto aby dla równoważenia dotychczasowego szczęścia niebo nie obdarzyło jej dzieckiem ułomnem lub idyjotą.

Nieszczęście jednak zjawiło się przed nią lecz w innej zupełnie postaci, idę o zakład że nigdy nie zgadlibyście w jakiej — oto w postaci maleńkiego kamyczka, ładnego różowego kamyczka, który był pierwszy przyczyną nieporozumienia młodych małżonków.

Państwo Malepoix bawili w Bretanii u hrabiego Jana. (Oliwija opowiedziała to swemu ojcu, który mi wszystko niemal dosłownie powtórzył).—Jednego majowego poranku, młodzi małżonkowie wyszli na zwykłą przechadzkę, czas był prześliczny — świeża zieloność drzew, balsamiczny zapach kwiatów, śpiew ptasząt, cała w ogóle natura spowinięta jeszcze srebrzystą mgłą przebudzającego się dnia, zdawała się do nich przemawiać. Macie wielką słuszność, że się kochacie, jesteście młodzi, piękni, używajcie szczęścia dopóki czas jeszcze. Młodzi ludzie śpiewali jak zwykle pieśń miłości, przytoczę wam kilka jéj strofek. *(d. c. n.)*

SZKOŁY i WYCHOWANIE w DAWNEJ POLSCE.

(Przegląd historyczny od najdawniejszych czasów)

napisał

Alfred Szczepański.

EPOKA II.

(Ciąg dalszy).

Szkoły średnie.

Akademija krakowska, będąc przez długi czas jedynem *studium generale*, wyrabiała sobie na mocy swoich przywilejów i nadań stanowisko uniwersytetu centralnego, niejako ministeryjum oświecenia—i zaprowadziła pod względem szkół (drugorzędnych, wyższych średnich) system zależnych od niéj kolonij czyli filij. Powstawały one z funduszów własnych akademii, z fundacyj prywatnych i miejskich (gminnych). Akademija miała je pod swoim zarządem i wysyłała do nich na nauczycieli swoich uczniów duchownych i świeckich. — Takie kolonije miała już akademija w Pułtusku, w Poznaniu, Lwowie, Elblągu, Toruniu, Wilnie, Kłodawie, Przemyślu, Gnie-

źnie... Plan nauk w nich był ten sam co i dawniéj w szkołach tego rodzaju prócz, że w niektórych uczono i greckiego języka.

Reformacyja przyczyniła się do wzrostu liczby szkół (lubo właściwie dopiéro w następnéj epoce). Protestanci zakładali swoje osobne szkoły wyższe, jak w Koźminie, Łańcucie, Pińczowie, Secyminie. I tutaj było główną rzeczą wyznanie, lecz nieco odmienne było ich urządzenie. Klas bywało 4, lepsze książki wykładowe, a co najważniejsza, że uczono w nich po polsku (o niemieckich patrz niżéj), czego inne szkoły długo jeszcze nieprzyjęły. Protestantom szło bowiem o przysposobienie sobie dobrych kaznodziei i dysputatorów, zdolnych do pozyskiwania prozelitów.

Charakter duchowny szkół sprawiał, że aż do Zygmunta Augusta nie było wcale seminaryjów teologicznych, gdyż księża kształcili się dostatecznie do swojego zawodu w szkołach zwyczajnych, w nowicyjatach zakonnych i w akademii krakowskiéj.

Szkoły początkowe.

Szkoły miejskie i parochijalne mnożyły się w téj epoce. W Krakowie były już trzy przedmieściowe. Urządzenie ich i nazwy były te same co dawniéj, nauczycieli było wielu cudzoziemców, nie umiejących po polsku. Powstawały też liczne bursy dla żaków. Kierownictwo szkół tych miało w swoim ręku duchowieństwo, a jeżeli magistrat zarządzał, pleban nadzorował.

Co do szkół początkowych wiejskich najmniéj jest pewnych śladów. Łukaszewicz utrzymuje wprawdzie, „że od Zygmunta I prawie w każdéj parafii była szkoła,“ nie ma jednak wcale danych do sprawdzenia tak śmiałego twierdzenia, stojącego w sprzeczności z całym duchem dziejów państwa polskiego. — Na Litwie od czasu połączenia jéj z Polską pojawiały się tu i owdzie szkoły, na Rusi nie ma jeszcze śladów.

We wszystkich szkołach początkowych używano języka niemieckiego, polskiego i litewskiego.

O początkowych szkołach żydowskich tyle tylko można powiedzieć, że po mniejszych szkołach przy synagogach, dzieci żydowskie otrzymywały pierwsze zasady czytania i pisania — zapominane w późniejszym wieku.

Wogóle o oświacie ludu nie można prawie mówić. Ustawy i ustrój społeczny narodu utrudniały ją; nie było nikogo, ktoby się o to troszczył, lud zaś sam choćby był i chciał, nie byłby mógł. Lecz nieznający światła nie tęskni za nim — i dla tego to bez przymusu naukowego w żadném państwie nie ogarnie oświata wszystkich warstw społecznych.

Szkoły żeńskie.

Znajdujemy już w téj epoce niejakie ślady co do wychowania dziewcząt. Niektóre szkoły miejskie stawały się mieszanemi. W murach klasztoru Benedyktynek powstawały pierwsze szkoły młodzieży żeńskiéj w Polsce. Również po klasztorach Franciszkanek, Dominikanek, Cystersek uczono katechizmu, czytać, pisać i nieco robót kobiecych.

Protestanci zakładali szkoły żeńskie od r. 1550. W r. 1553 była w Poznaniu nauczycielka szkoły żeńskiéj Prakseda, należąca do wyznania braci czeskich.

Zaczynały się już pojawiać szkoły prywatne, a musiało też być i wielu nauczycieli domowych (Niemców i Polaków), skoro przed jednemi i drugiemi odezwy synodów katolickich ostrzegają. Szło bowiem duchowieństwu o dzierżenie w swoim ręku wyłącznie kierunku i wymiaru oświaty.

Epoka III — jezuicka.

OD ROKU 1564 DO 1740.

Ogólny charakter — zasady.

Sprawa liczby szkół, ale jeszcze nie sprawa oświaty i wychowania, postąpiła bardzo w téj epoce przez wprowadzenie kolegijów Jezuitów i szkół Pijarów.

Wolność nauczania z poprzedniemi ograniczeniami trwa daléj w zasadzie, ale ją ścieśniają coraz nowe przywileje, zakazy powodów religijnych i wzajemne zawiści akademii i zakonów, chcących wychowanie w swoim ręku zmonopolizować. Szkoły są niepodległe, władzy szkolnej państwowéj nie ma jeszcze, państwo wogóle i nadal sprawą wychowania się nie zajmuje — z wyjątkiem szkoły wojskowéj. Całe wychowanie zostaje w ręku uprzywilejowanych akademij czyli duchowieństwa; jak ze strony państwa, tak ze strony wogóle świeckiego społeczeństwa nikt o szkołach nie pamięta. Wszelkie świeckie fundacyje przechodzą w ręce duchowieństwa.

Emulacyja akademii z Jezuitami, Jezuitów z Pijarami, wszystkich z różnowiercami, wyradza się w zaciętą kłótnię, trwającą półtora wieku. Nigdy nie było w Polsce tyle wrzawy, procesów, zatargów, ekscesów w sprawie szkół co teraz — ale były to spory czysto chlebowe; oświata nic na nich nie zyskała, pomimo, że mnóstwo przybyło szkół — owszem oświata warstw zamożniejszych, wogóle szlachty, zostająca wyłącznie w ręku Jezuitów, upada coraz więcéj. Skutkiem przytępiającego umysły wpływu szkół krajowych ginęło nawet poczucie potrzeby oświaty. Za tém poszło, że zwyczaj wyjeżdżania na uniwersytety zagraniczne w téj epoce po części całkiem ustaje, po części spaczony przyjmuje kierunek.

Szermierki ustne i piśmienne z protestantami pociągnęły za sobą również, jako jedyny przemijający skutek, wzrost liczby szkół, lecz nie ich wartości. Wszystkie one służyły ciągle odrębnym, nienaukowym celom. Nie było ani jednéj katolickiéj, protestanckiéj lub żydowskiéj szkoły, któraby dawała istotne obywatelskie wykształcenie, odpowiednie potrzebom kraju i stojące na wysokości postępu nauk w innych krajach.

W jednostronnym zapale dostarczenia prawowiernych wyznawców i szermierzy, zapominano zupełnie o wychowaniu początkowém. Zaniedbanie i ciemnota ludu wiejskiego odbija rażąco od znacznéj już liczby szkółek.

System ówczesny jednę przynajmniéj dobrą stronę przedstawia, mianowicie, że po szkołach zakonnych wielka była dbałość o wychowanie fizyczne i zdrowa młodzież z nich wychodziła. Były to butne i zuchwałe, a ciemne i zabobonne junaki szlacheckie.

Wychowanie dziewcząt ledwo się poczyna.

W sporach o prawo do zakładania i utrzymywania szkół wygrała akademija krakowska, popierana przez dysydentów przeciw Jezuitom. Na mocy wyroków bądź sejmowych, bądź papieskich, nie dopuściła ona powstania kilku nowych szkół jezuickich, jako to: akademii w Krakowie i we Lwowie, kolegijów w Krakowie i Nowém Mieście Korczynie i wyższych kursów przy innych kolegijach. Byłoby to do darowania, gdyby je sama była zakładała. Mimo wygranéj jednak kolonije akademickie pustoszeją i upadają, a pułtuska, poznańska, lwowska przeszły do Jezuitów. Ogarnęli oni wszystkie prawie miejskie i katedralne szkoły. Zresztą edukacyja w szkołach akademickich i jezuickich niczém od siebie się nie różniła. We wszystkich panował system schlebiania przesądom panującéj kasty, ogłupiając umysły młodzieży w widokach wyznaniowych i w partykularnych widokach zakonu. Więcéj pod względem nauki były warte szkoły pijarskie i luterskie, lecz te ostatnie po większéj części były niemieckiemi, na co rządy ciągle zupełnie są obojętne. W danych w Polsce warunkach, jakiemi były zupełne niemieszanie się rządów i wyłączność panującego kościoła; wolność nauczania przyniosła najgorsze skutki, a następnie wyrodziła się. Z niedbałości rządów wynikło bowiem, że szkoły niemieckie rozsiadały się w kraju, poza niemi zaś wolność nauczania schodzi na walkę przywilejów. Z wyłączności zaś panującego kościoła wynikło: zmonopolizowanie oświaty w ręku duchowieństwa, które tylko między sobą o prawo do szkół się kłóci, daléj jednostronność wyznaniowa szkół, oraz ciągły wpływ na wychowanie i oświatę krajową Rzymu, od którego duchowieństwo tak świeckie jak i zakonne zależało; wreszcie wykluczenie wyznań niechrześcijańskich od szkół publicznych. Z samowładności zaś jednego stanu wynikło coraz surowsze ścieśnianie wolności uczenia.

Powtarzają się tu rysy i motywa z poprzednich epok już znane — lecz z tą różnicą, że przyczyny i początki złego tam wykazywane, teraz już wszystkie najgorsze wydały następstwa. Mamy bowiem przed sobą Polskę XVII wieku.. Na Rzeczpospolitą srożą się coraz większe zewnętrzne burze — społeczeństwo nie jest już w stanie wydawać obywateli zdolnych do dźwignięcia jéj. Jakoś i ilość oświaty zeszła w narodzie do najdrobniejszych a za to potwornych stosunków, a w parze z tym stanem idzie upadek moralności i dobrobytu. Z miast odsuniętych od spraw publicznych, mało oświeconych, po części niemieckich, zubożonych, w znacznéj części żydowskich, nieznających ani obywatelstwa, ani patryjotyzmu, chyba wyjątkowo we własnéj obronie — nie mógł wyjść ratunek.

Lud wiejski jest już zupełnie martwy — w wschodnich jeno częściach Rzeczypospolitéj poruszyć go mogły dwie jedynie dla niego przystępne sprawy: społeczna i religijna (wojny kozackie odpadnięcie kozaczyzny).

Szlachta ogłupiona w szkołach, utwierdzana w fanatyzmie, dewocyi i kastowéj bucie, zdolna już jest tylko do złotéj anarchii wobec rządu i państwa, do czołgania się w obec możnowładztwa, a do swawoli i nadużyć u siebie w domu. Oto smutny stan kraju, do czego zaniedbanie i błędność wychowania publicznego znacznie się przyczyniły. Upadek państwa jest już niechybnym, tak, że wielkie usiłowania następne odrodzenia go przez odrodzenie wychowania, chwilową mu tylko przynoszą ulgę — a za późno już będzie na ocalenie.

Rozpatrzenie szczegółowe.

W akademii krakowskiéj nic się nie zmieniło, chyba na gorsze za przykładem Jezuitów. Profesorowie szczycą się w téj epoce, że akademia „gromiła różnowierców językiem, piórem i ręką — pod ostatniem rozumieć należy bijatyki uliczne i napaści na Żydów i różnowierców, napady na zbory protestanckie, osłaniane bezkarnością zarządów jezuickiéj kamarylli około Zygmunta III; wreszcie należą tu i bijatyki katolickich uczniów między sobą, to jest akademickich z jezuickiemi.

Dochody akademii marnieją na czcze pompy kościelne, lub panegiryczno-teatralne, urządzane dla szlachty.

Kardynał Jerzy Radziwiłł i biskup Tylicki usiłowali zaprowadzać niejakie reformy, lecz oparła się temu stanowczo akademija, na mocy przywilejów papieskich i królewskich. Języki starożytne zaniedbywano coraz więcéj o wschodnich, a zwłaszcza o tak potrzebnym w Polsce języku tureckim ani pomyślano. Nauki przyrodnicze, medycyna, matematyka zupełnie upadły. Mgły i majaki teologiczno-scholastyczne nie dopuściły do akademii ani wieści o współczesnym ruchu naukowym w Europie — o Kartezyjuszu, Spinozie, Liie-

bnitzu, Locke'u, Galileuszu, Newtonie, nie wolno było ani wspomnieć. Akademija była sobie średniowieczną mumiją, światła narodowi nie dawała wcale, nie wydała w téj epoce ani jednego uczonego i ani jednego dzieła. Profesorowie, wyłącznie księża trudnią się głównie astrologiją, polemiką i zaciąganiem uczniów do bractw i różańców. Wogóle kościelne ceremonije prawie wszystek czas zabierały.

Powstają w téj epoce jeszcze trzy zakłady, mające tytuł akademij — wszystkie téj samej watości co krakowska.

Akademija jezuicka w Wilnie powstaje w roku 1578, kanclerzem jest biskup wileński. Promowano tam bakałarzy i magistrów t. z. sztuk wyzwolonych i filozofii, licencyjatów i doktorów teologii; był i wydział niby prawny, jakiś czas i lekarski, bez prawa dyplomowania. Uczono, jak w planach stoi: poezyi, retoryki, filozofii scholastycznéj, moralnéj, loiki, polemiki, pisma świętego, matematki, fizyki, języków: greckiego, łacińskiego, francuskiego, angielskiego, włoskiego. Profesorów bywało po 23. Wyłącznym atoli celem akademii do którego cały plan zmierzał, było przysposabianie księży, lub ślepo posłuszných owieczek. O naukę, umiejętności, wcale tam nie szło. *(d. c. n.)*

GAWĘDY POPULARNO-NAUKOWE.

Kilka słów o wychowaniu.

Ogniwem łączącem życie teraźniejsze z przeszłem—jest pamięć. Ponieważ żyjemy w teraźniejszości i tylko chwila obecna jest naszą, przeszłość więc naszego bytu zniknęłaby zupełnie dla nas, gdybyśmy nie mogli przechowywać jej w pamięci. Z każdą chwilą zaczynalibyśmy nowe życie, które byłoby pasmem odosobnionych momentów bez myśli i związku. Wszystko jedno byłoby dla naszej świadomości, czy byśmy żyli tysiące lat lub kilka minut tylko, albowiem w każdym nowym momencie—poprzedni poszedłby w niepamięć. W każdej chwili przedstawialibyśmy nowe indywiduum.

Bez pamięci nie tylko nie moglibyśmy objąć jedności naszej istoty, lecz i otaczające nas przedmioty wydawałyby się nam ciągle nowemi i nieznanemi. Nie byłoby żadnej łącznej pracy, żadnego pożytecznego przedsięwzięcia. Nauka byłaby niepotrzebną, albo raczej niemożebną, albowiem to czegobyśmy się nauczyli — za chwilę przestałoby być naszą własnością.

Pamięć przedstawia dwa stopnie: niższy i wyższy. Niższy zasadza się na możności *zatrzymywania* odebranych wrażeń, wyższy na *odtwarzaniu* czyli przypomnieniu. W pamięci naszej pozostaje zawsze mnóstwo przedmiotów, pomimo tego że zwykle najmniejszą tylko część przywołujemy do świadomości; wiele *wiemy* pomimo że niemamy o tem świadomości w danej chwili. Trudno nam niekiedy przychodzi przypomnieć sobie osobę jakąś albo imię, które drzemie w pamięci naszej—oto dowód że zatrzymywanie w pamięci i przywoływanie stanowią dwie oddzielne czynności, z których pierwsza może istnieć bez drugiej.

Co się tyczy pierwszej czynności, słusznie robi Jessen w swej Psychologii uwagę, że nie jest ona tyle przymiotem duszy, ile raczej skutkiem własności mózgu. Na tej to własności mózgu opiera się możność osiągnięcia biegłości za pomocą powtarzanych ćwiczeń. Wszystkie ruchy odbywają się z tem większą lekkością i swobodą im częściej bywają powtarzane. Na tem też polega zadziwiająca biegłość sztukmistrzów i wirtuozów przy wykonywaniu sztuk muzycznych i sztuk gimnastycznych.

Oprócz *powtarzania* główną rolę odegrywa tu *siła* odebranych wrażeń, którą właśnie warunkuje się moc przylgnięcia tych wrażeń. Ponieważ zaś moc wrażenia w części zależy od *stopnia uwagi*, którą na nie zwracamy, a ta znowu od udziału interessu, jaki dla niego czujemy, stąd jasno widzimy, jak wielki wpływ wywiera na utrwalenie wrażenia zajęcie, jakie ono w nas wywoływa.

Stąd też łatwo sobie objaśnić, dla czego mamy tak dobrą pamięć dla okoliczności tyczących się naszego losu. Trudno nam zapomnieć o tych, którzy nas wspierali, lub przeszkadzali nam na drodze naszego życia. Tkwią w pamięci naszej wszelkie przemiany losu, które były dla nas przychylne lub nieprzychylne.

Łatwo też takim sposobem objaśnić dla czego często w życiu wrażenia dawniejsze lepiej w pamięci zachowaliśmy, i łatwiej nam przypomnieć je sobie, aniżeli daleko późniejsze. Pochodzi to stąd, że pierwsze więcej nas interesowały aniżeli te ostatnie.

Zawisłością pamięci od wzbudzonego w nas zajęcia objaśnia się dla czego jedni mają pamięć do jednego rodzaju przedmiotów, drudzy znowu do innego. To co jeden łatwo zrozumie i pojmie, dla drugiego przedstawia nieprzezwyciężone prawie trudności. Kobiety po największej części mają pamięć do innych rzeczy aniżeli mężczyzni; uczeni do inych rzeczy aniżeli wojskowi lub rzemieślnicy. Albowiem zawsze im więcej kto w skutek usposobienia swego umysłu lub charakteru, interesuje się przedmiotem, tem łatwiej przychodzi mu przedmiot ten spamiętać i w umyśle reprodukować. Bywali wodzowie, którzy znali nazwiska żołnierzy licznej swej armii; uczeni, którzy pamiętali tytuły dzieł obszernych księgozbiorów. Temistokles znał na pamięć nazwiska wszystkich swych współobywateli, a w nowszych czasach, znakomity historyk angielski Macaulay miał zadziwiającą pamięć do nazwisk historycznych. Tak np. pamiętał kolejne następstwo nazwisk wszystkich papieżów.

W wieku sędziwym pamięć zwykle się osłabia, pozostaje jednakże niezmienną do tych rzeczy, które starców zajmują. Nigdy nie słyszałem, powiada Cyceron w rozmówce o starości (De Senectute) — żeby starzec zapomniał o miejscu, gdzie schował swój skarb. Starcy myślą zawsze o tem, co rozbudza ich troskę:—o terminie w którym mają stawać przed sądem, o dłużnikach i wierzycielach.

Jeżeli cierpiący umysłowo zapominają o swej przeszłości uważają się wowczas za zupełnie innych, niż są w rzeczywistości np. za króla, cesarza, apostoła lub Boga. Przesada przywiodła ich do zapomnienia swej przeszłości.

U zwierząt zajęcie się jakimś przedmiotem wywiera wpływ wielki na pamięć. Pszczoła łatwo odnajduje te kwiaty, w których raz już znalazła miód: między wieloma roślinami poznaje ona swoje. Jaskółki i bociany na wiosnę wracają do dawnych swych gniazd, a przy nadejściu surowej pory roku przybiegają znowu do tych domów, gdzie już raz znalazły schronienie. Gołębie, psy, koty i konie wracają często z wielkich odległości do dawnych siedlisk. Kozy, owce, świnie znajdują zawsze drogę do chlewu, a koń z pomiędzy stu stajni swoję rozróżni. Po wielu latach poznaje on jeszcze swego pana oraz miejsce, gdzie mu dobrze było i po długim czasie pamięta, kto dobrze się z nim obchodził a kto źle; poznaje weterynarza, który mu robił operacyją i boi się go. Również pudel poznaje tego, który go pierwszy raz ostrzygł i ukrywa się przed nim.

Że wrażenia młodości tak głęboko tkwią w naszej pamięci, pochodzi to w części od żywego interesu, jaki w dzieciństwie dla wszystkiego posiadamy, dalej od natężonej uwagi, którą na przedmioty nas otaczające zwracamy; w części zaś od tego—jak słusznie zauważył Schopenhauer — że zakres wyobrażeń dzieci bywa ścieśniony, a ponieważ chcielibyśmy ciągle być zajęci, więc te wrażenia które nas zajęły, wciąż odnawiamy. U ludzi nieobdarzonych zdolnością samodzielnego myślenia, pamięć bywa często bardzo silną. Zdarza się znowu niekiedy że genijusz nie ma wcale świetnej pamięci, jak np. *Rousseau* sam to o sobie podaje. Według Schopenhauera można to sobie takim sposobem wyjaśnić: że u genijuszu moc myśli i kombinacyi nie zostawia czasu do ustawicznego odnawiania ich. Nader interesującą jest uwaga Schopenhauera, że ci którzy zajęci są ciągłem czytaniem romansów, osłabiają sobie pamięć, albowiem i u nich równie jak u ludzi genijalnych wielość prędko przemijających wrażeń i obrazów nie zostawia im cierpliwości do przypominania sobie wrażeń dawniejszych. Przy każdym nowym romansie zapominają o poprzednim.

Podczas gdy genijusze łatwo zapominają drobnostki życia powszedniego, ograniczone głowy mają za to dobrą dla nich pamięć; pochodzi to stąd, że gdy pierwszych zajmują li tylko myśli wielkie, interes drugich skierowany jest ku małym — potoczonym zdarzeniom. Siłą umysłu jednak może gienijusz w łatwy do zadziwienia sposób zapamiętać ważne dla siebie przedmioty.

Uczniowie, którzy prędko pojmują i szybko wyuczyć się mogą zadanych lekcyj, zwykle prędko też je zapominają; przeciwnie zaś ci, którzy zdobywają sobie naukę wielką pracą i natężeniem, zwykle lepiej ją pamiętają. Objaśnia się to poprostu tem, że kto łatwo i prędko może się nauczyć, krócej je zatrzymuje, a przytem zwraca na nie mniejszy stopień uwagi, komu zaś trudno ona przychodzi ten poświęca dla niej więcej czasu i uwagi. A zatem i do pamięci może być zastosowane przysłowie: „Jak przyszło, tak też i poszło."

Godnem jest uwagi, że wyobrażenia połączone łatwiej pozostają w pamięci aniżeli oderwane niezostające z sobą w żadnym związku. Zdanie np. łatwiej spamiętać aniżeli ciąg oddzielnych słów, imion, albo liczb. Dzieje się to w skutek tego, że nas zajmuje tylko treść i związek słów i myśli. Na tem właśnie prawie, że związane wyobrażenia łatwiej wbijają się w pamięć aniżeli odosobnione, opierają się zasady *mnemoniki*. Prawidła jej w ogóle opierają się na tej zasadzie, że rzeczy oddzielne, oderwane przypominamy sobie przez powiązanie ich z łatwo dającemi się zapamiętać szeregami wyobrażeń. „Dążność umysłu—powiada Jessen—by uchwycić łączność rzeczy między sobą nie tylko objawia się w pamięci ale także i w ujmowaniu za pomocą zmysłów, które tylko są w stanie ogarniać rzeczy w ich związku z sobą. Gdy przypominamy sobie pierwszą literę jakiego słowa albo imienia zapomnianego, to z tem przypomnieniem zwykle łączy się w pamięci wspomnienie całego słowa, i wszystkie usiłowania nasze by przywołać zapomniane imię skierowane są na to odszukanie wspomnień, które z niem znajdują się w jakiejbądź styczności. Przeczytane imię przypominamy sobie łatwiej gdy myślą odtworzymy miejsce, w którem się ono na stronicy znajdowało, czy u góry czy u dołu."

Ażeby objaśnić ten fakt, że niektórzy posiadają szczególną pamięć do nazwisk, drudzy do liczb, inni do miejscowości a inni znowu do różnych historyj lub fizyjognomij osób frenologowie, jak wiadomo, przyjmują oddzielne organa w mózgu—jako siedlisko rozmaitych rodzajów pamięci; lecz słuszniej daleko można specyjalną tę siłę pamięci uważać za skutek interesu i ćwiczenia się. Kto w siódmym roku zaczyna się uczyć grać na fortepijanie i codziennie przepędza siedem godzin na

ćwiczeniu, po upływie pewnego czasu dochodzi zwykle do wielkiej biegłości.

Trudniej już daleko objaśnić sobie często zauważaną cząstkową stratę pamięci. Niektórzy zapominają swoje własne imię albo też imię drugich, inni nie znajdują odpowiedniego słowa na wyrażenie rzeczy i używają innego. Ludzie, którzy cierpieli na pomięszanie umysłu, albo wyszli z długiej gorączkowej choroby, zapominają niekiedy zdarzenia lat ostatnich, poprzednie zaś bardzo jasno pamiętają. Jessen przypuszcza, że jest to wynikiem nadwerężonej czynności węzłów mózgowych i że zjawiska te są tylko wyższem stopniowaniem zwykłych przypadków, jakim każdy człowiek w umysłowem swem życiu ulega. Częstokroć bowiem przypomnieć sobie nie możemy jakiejś nazwy, pomimo że jest nam dobrze znajoma, i pomimo że jesteśmy bliscy odnalezienia jej. Mamy ją na języku, a jednak nie możemy jej wypowiedzieć, kiedy zaś już przestajemy trudzić się przypominaniem, sama nam na myśl przychodzi. Nie jest to więc tyle zapomnienie jak raczej trudność przypomnienia sobie. Trudność ta w podeszłym wieku wzrasta i w chorobliwych przypadkach może dojść do wysokiego stopnia. Niekiedy ten rodzaj zapomnienia objawia się przez pewien tylko przeciąg czasu, gdy umysł tak jest zaprzątnięty jedną rzeczą, że o niczem innem nie myśli i nic go więcej nie interesuje. Zapomnienie zaś rzeczy, które poprzedzały na pewien okres czasu chorobę można według Jessena tem objaśnić że w przypadku o którym mowa, nowsze wrażenia nie podlegały wewnętrznemu powtarzaniu, podczas gdy dawniejsze często wspomnieniami bywały uprzytomniane i przez to głębiej w umyśle zapuściły korzenie.

Jak widzimy więc pamięć nie jest martwą skrytką lecz *siłą żywotną* która wymaga ćwiczenia i rozwinięcia, lecz może niestety ulegać i nadwyrężeniu. *M. K.*

KSIĄŻKI DLA DZIECI.

I.

Ogólny pogląd na dzieję piśmiennictwa dziecinnego.

Przeglądając spółczesne książki dla dzieci, dostrzegamy, że one wogóle, nie posiadając wybitnego kierunku pod względem pedagogicznym, nie odpowiadają swemu celowi. Chcąc wykazać, jaki nadal kierunek ta gałąź piśmiennictwa przybrać powinna, najwłaściwiej będzie przebiedz pokrótce historyją dziecinnej literatury; badając bowiem potrzeby, które jéj dały początek, jak również stopniowy jéj rozwój, poznamy czego jéj brakowało; a to nam poda pewne wskazówki co do ulepszeń na przyszłość.

W czasach, gdy kultura społeczna dopiero zaczynała się rozwijać, książki dla dzieci zastępowano ustnemi opowiadaniami i pieśniami. Kiedy ukształcenie postąpiło o tyle, że same ustne opowiadania okazały się niewystarczającemi, i w życiu potrzeba czytania dawała się uczuć, wtedy dzieci zaczęły przyjmować udział w czytaniu tegoż co ich rodzice, t. j. ksiąg treści religijnéj, historycznych kronik i utworów narodowych poetów. W 16 i 17 wieku pojawiają się pierwsze książki przeznaczone wyłącznie dla dzieci; ogólną ich charakterystyką jest ton moralny i przepełnienie przestrogami;— z tego powodu są bardzo nudne. W drugiéj połowie 18 wieku, z rozpowszechnieniem się pedagogicznych diei Jana Jakóba Rousseau, dostrzegamy reakcyją w tym kierunku. W Niemczech jako gorliwy propagator nowych pedagogicznych idei występuje Rasedow, pod wpływem którego działali: Rochow, autor książki przez długi czas będącéj w wielkiém użyciu „Przyjaciel dzieci" (Kinder - Freund), podobnież Weisse wydawca pism peryjodycznych dla dzieci („Kinder Freund," „Breft-wechsel der Familie des Kinderfreundes," i wielu innych książek dla dzieci) i nakoniec Campe i inni pisarze pracujący w tymże *filantropijnym* kierunku. Cała ta nowa dziecinna literatura, pomimo niektórych usterek, odpowiadała w zupełności duchowi czasu, i dla tego pozyskała powszechne uznanie. Jak wiadomo największą popularność zyskał Robinson napisany przez Anglika Defoe, w zupełności zaspakajający wrodzone dzieciom pragnienie poznania obcego, dalekiego, nieznanego i pełnego cudowności świata. Rousseau uważa Robinsona za jednę z najodpowiedniejszych książek dla swego Emila. Dziełko to było przetłomaczone na niemiecki język w 1721 roku, a w 1760 można było naliczyć przeszło 40 rozmaitych jego wydań i przeróbek; z tych ostatnich Campego długo uważaną była za ozdobe dziecinnéj literatury, a Campe tą swają pracą postawił się w rzędzie koryfeuszów między pisarzami tego rodzaju. Jeszcze w roku 1860 w Niemczech wyszło 57-e wydanie jego Robinsona, chociaż w samym XIX wieku pojawiło się tamże 20 rozmaitych Robinsonów, a w ich liczbie „Robinson szwajcarski" Wissa, Robinson Schuberta i rozliczne tłomaczenia pierwotnego Robinsona Defoe'go. Nie zważając jednakże na ogólne uznanie téj książki, krytyka prawie jednogłośnie utrzymuje, że Robinson Campego jest niedobry i że najlepszemi jego ustę ami są te, które Campe pozostawił niezmienione. W Robinsonie Campego, mówi znany autor historyi literatury Hettner (H. Hettner Robinson und Robinsonaden 1854), bardzo mało spotykamy téj wzniosłéj poezyi, która jest cechą pierwotnego Robinsona Kruzoe, nie wiele również śladów bogactwa myśli w nim zawartych; wszędzie się tam przebija nagość prawdy, prawie odrażające przechwałki co do swych mechanicznych zdolności i nawyknień; lecz materyjał w pierwotnym Robinsonie jest tak bogaty, że nawet przy najmożliwszem rozwałkowaniu zachował w sobie dość pociągu dla młodzieży. Podobnymże ubóstwem odznacza się i „Odkrycie Ameryki" Campego, a niemniéj i inne liczne jego prace dla dzieci. Równomiernie z tą prozaiczno-utylitarną literaturą rozwijał się i drugi rodzaj literatury, nieznośnie nudnéj — *moralistycznéj*.

Właściwszy kierunek przybrało tego rodzaju piśmiennictwo od czasu pojawienia się prac Pestalozzego. Zastanowimy się tu tylko nad wybitniejszemi kierunkami, które przyjmowała dziecinna literatura w swym historycznym rozwoju, a które, mniéj lub więcéj są jéj czynnikami i teraz. Widzieliśmy to powyżéj, że idee Rousseau nadały literaturze kierunek *filantropijno-realny*. Głównym celem téj Rasedowskiéj szkoły było zaznajamiać dzieci nieznacznie, bawiąc równocześnie, z rozmaitemi użytecznemi wiadomościami, i urabiać je na praktycznych ludzi. Książki przeznaczone wyłącznie dla dzieci powinny odznaczać się jak największą zrozumiałością, przystępnością, zastosowaniem do sfery ich pojęcia i t. p., gdy tymczasem nie rzadko napotkać możemy takie, które ich nudziły i usypiały, zamiast rozweselać i umysłowo rozwijać. Na mocy téj najpierwszéj zasady, że autor powinien zniżyć się do pojęć dziecinnych, bohatérowie w tych książkach występują w rolach dzieci, lub też dzieci wydają o nich swój sąd, wypowiadają swe zdania i moralizują. Treść opowiadań dla dzieci była realną, rzeczywistą, przystępną dla rozumu ludzkiego wogóle, wszystko zaś cudowne, idealne, wszystkie jakieś wyjątkowe wypadki i nie zdarzające się w codziennem życiu zjawiska, były starannie omijane, jako „niezgodne z abstrakcyjnemi prawami tak zwanego ludzkiego rozsądku" (Waitz), jako nie wchodzące w zakres nagiéj prawdy i rzeczywistości. Dzieci, zaczynające z podobnych książek, wychodziły zwykle na zarozumiałych rezonerów, wydających stanowczy sąd o wszystkiém bez namysłu i wahania. Kierunek ten niepostrzeżenie popadł w ten sam błąd, który potępił w innym—*moralistycznym*. Autorowie prac ostatniego rodzaju, starali się nauczać dzieci moralności, kreśląc typ posiadający wszystkie wymagane w dziecku przymioty, lecz wpływ takich opowiadań był niewielki, gdyż cel ich był nadto widoczny. Rezonujący dziecinni bohatérowie swym przykładem przyuczali dzieci żywego temperamentu do nieszczerości, do maskowania swych rzeczywistych popędów i do zupełnie niewłaściwego napuszonego rozprawiania, a w skutek przesady w idealizowaniu, czynili z nich sentymentalne i przesadzone kreatury. Moralizująca dziecinna literatura jednak długo się trzymała; poniekąd istnieje ona dziś jeszcze i jest reprezentowaną przez książki, w których występuje wraz z głupim Olesiem dobra i rozsądna Mania lub inne pary plutarchowskie tego rodzaju. Dzieci tu nad wiek swój rezonują, zwłaszcza w powiastkach pisanych przez kobiéty, o szczęściu i niewinności ich własnego dzieciństwa. Prawda, że tam nieraz się napotyka piękne rozumowania starszych o dzieciach, jest to jednak niestosowne w książkach dla dzieci; gdyż one nietylko że nie rozumieją swego szczęścia i niewinności, lecz nawet i rozumieć nie powinny. Jeżeli bowiem nauczymy je rezonować o tém, że ich dzieciństwo jest podobne np. do rajskiego stanu, lub każemy im deklamować i śpiewać o ich własnéj niewinności, o tém jak są miłe i t. p. przymiotach, to tém samém zabijemy niejako ich dziecięctwo. Większy pożytek przynosiły *bajki*, zwłaszcza te, w których nie bardzo widoczną była chęć moralizowania, a wprost malowały dzieciom rozmaite obrazy, gdyż to kształciło w nich smak poetyczny, a następnie w pożądany sposób urabiało ich naturę. W formie przykładu możemy przytoczyć z naszéj literatury niektóre bajki *Jachowicza*. Niestety jednak i tu nie małą szkodę wyrządziła źle zrozumiana moralizacyja, a jeszcze gorszy wpływ wywierali pisarze z ciasnemi pojęciami w kierunku *religijno-mistycznym*, chociaż niektórzy z nich przynieśli rzeczywisty pożytek, jak np. Krummacher (1800 r.) swojemi parabolami. Jedną z głównych usterek w książkach tego rodzaju jest to, że bohaterowie w nich występujący, których zadaniem jest przekonać młodych czytelników o sile swéj wiary, są sami bardzo ślamazarni; ich naiwna poczciwość przebija się więcéj w napuszonych, słodziutkich, uczuciowych i przesyconych dogmatami zdaniach, niż w naturalnym charakterze. Oprócz tego ich cnota prawie zawsze odnosi nagrodę, o czém wiedzą naprzód, a to nie mało osłabia ich wpływ na umysł i serce młodych czytelników. Od tych specyficzno-moralnych tendencyj w dziedzinie dziecinnéj literatury, najwięcéj oswobodziły się przeznaczone do czytania dla młodzieży *romanse*, chociaż i tu było dużo fałszu; tylko że bohaterami ich, zamiast owych doskonałych dzieci, byli nieulegający najmniejszemu zarzutowi dorośli. Przytém większość pisarzów tego rodzaju utworów, nie posiada rzeczywistego talentu, który jest niezbędnym warunkiem dla napisania dobrego zwłaszcza dla młodzieży romansu, czego skutkiem jest monotonność i ubóstwo treści. Ten brak talentu, który jedynie tylko może stwa-

rzać bezpośrednio i nadać prawdziwy koloryt, autorowie starają się zastąpić przez mnóstwo wymyślonych efektów i sytuacyj, gorączkowo pobudzających fantazyją młodego czytelnika. Bacząc na to, aby dziecinny romans był czysty obyczajowo, słusznie unikają wszystkiego, co może podać myśl płciowéj różnicy; lecz równocześnie miłość własna i tém podobne wady często występują tam pod płaszczykiem cnoty. W ostatnich jednak czasach i tu zauważyć można dążenie do rzeczywistości i wybór prostych choć niemniéj pociągających tematów. (*D. n.*)

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Kasztelan — opowiadanie Fryderyka hr. Skarbka. Poznań 1872. — **Zemsta królowéj** — podług Dikiensa, napisała Helena Potworowska.

Zasługi hr. Skarbka, znanego ekonomisty, autora wybornego dzieła, p. n. *Dzieje księstwa warszawskiego*, nie zasadzają się bynajmniéj na powieściach ani na komedyjach, których najwięcéj spłodził; jest wszakże pomiędzy pierwszemi kilka nie bez zalet, a mianowicie niektóre jak *Pan starosta*, odzwierciedlające niezbyt odległą przeszłość; inne jak *Przypadki Dodosińskiego*, tryskające tu i owdzie prawdziwym humorem. *Kasztelan* nie odznacza się ani jednym ani drugim przymiotem, i bez wątpienia nie był wcale przeznaczonym do druku. Kasztelan, bogaty a bezdzietny wdowiec, zamieszkały w Warszawie, otoczon jest czujną strażą chciwych spadku krewnych, pełnych obawy, aby mu się nie zachciało po raz drugi wejść w związek małżeński. Ku wielkiemu zgorszeniu licznego ich pocztu, z przebiegłą generałową na czele—kasztelan okazuje znaczące względy pewnéj ubogiéj panience. Dla odwrócenia groźnego niebezpieczeństwa, jeden z krewniaków, p. Artur udaje ku niéj miłosne zapały i objawia nawet kłamaną chęć pojęcia jéj za żonę. Panna (któréj autor, bardzo nieszczęśliwie, kładzie w usta całe opowiadanie) choć niby nie wierzy w miłość Artura, nie chce iść za niego i wzdryga się na samą myśl profanowania obłudą uroczystego obrządku zaręczyn, nie zdaje im się jednak być przeciwną—lecz rezolutny kawaler, obładowawszy kiesznie banknotami ucieszonego nadzieją związku kasztelana, znika w chwili zaręczyn, kasztelan zaś daje pannie pierścionek—„jako zaręczenie, że się z nią nigdy nie ożeni, a na pamiątkę przykrości od jego familii doznanych, z powodu posądzenia o taką niedorzeczność, jak zawarcie małżeństwa w jego wieku.”

Zemsta królowéj jest przełożonym z angielskiego opisem okrutnéj śmierci, na jaką skazała w czasie swego pobytu w Paryżu r. 1657 niewiernego kochanka, markiza Monadelschi, znana równie z pobożności jak płochego życia królowa szwedzka, Krystyna. Po króciutkim wstępie, malującym ekscentryczny charakter królowéj i brudny postępek zdradzieckiego Włocha, który nadużywając zaufania wysoko postawionéj kochanki, oddał wszystkie do siebie pisywane listy Krystyny w ręce innéj kobiety—podaje autor, a za nim i tłómacz rzecz samą słowami przytomnego egzekucyi Ojca Le Bel—w końcu opowiada, jak rząd francuzki, oburzony bezprawiem, popełnioném przez Krystynę, kazał jéj opuścić Francyją. *K. K.*

Rys statystyki porównawczéj miasta Warszawy. Część pierwsza: statystyka zabudowań i ludności, napisał *Witold Załęski*, odbitka z „Ekonomisty.” Warszawa, 1872 r.

Mamy przed sobą owoc mozolnéj i długiéj pracy. Jeżeli zbieranie szczegółów i danych statystycznych przedstawia wielkie trudności za granicą, to cóż dopiéro mówić o tém u nas, gdzie nie istnieją żadne organa, któreby się trudniły ich zbieraniem, a chociaż czasami dla celów administracyjnych spisują się pewne wiadomości, te jednak nie są dostępne dla specyjalisty badacza.

Pan Załęski przedstawia nam rys statystyki porównawczéj miasta Warszawy. W przedmowie wyjaśnia w krótkości znaczenie miast w państwie pod względem politycznym, moralnym i ekonomicznym. Dla téj ich ważności kongresy statystyczne zaleciły utworzenie statystyki osobnéj miast wielkich. Dla otrzymania dokładnych wiadomości, uznano za niezbędne dokonywanie obliczenia jednoczesnego i powszechnego ludności i powtarzanie go co lat kilka. U nas nie było takiego obliczenia. Pan Załęski więc musiał się ograniczyć na rozmaitych wiadomościach zebranych w magistracie i policyi warszawskiéj; wiadomości tak otrzymane zestawiał z rezultatami poszukiwań statystycznych w Berlinie, Petersburgu, Hamburgu i Rydze.

Pracę swoją autor podzielił na 4 działy: statystykę *zabudowań*, *ludności*, *przemysłu rzemieślniczego i fabrycznego* i *finansów miasta*. Na początek mamy 2 pierwsze części. Rozumie się, że wartość wiadomości podanych przez p. Załęskiego zależy od dokładności zbierania szczegółów przez magistrat i policyję. W każdym razie dają one materyjał do pewnych wniosków i rozumowań o rozmaitych stosunkach naszego grodu, co więcéj warte od domysłów dotychczasowych.

Ważność bowiem danych statystycznych objawia się na każdym prawie kroku działalności społecznéj i naukowéj. Prasa w rozpatrywaniu rozmaitych kwestyj chwili bieżącéj napotyka na niepokonane niemal trudności, bo nie zna *istotnego* stanu rzeczy. Towarzystwa ubezpieczeń i budowlane będą panu Z. wdzięczne zarówno jak i społeczeństwo, dla którego podjął pracę zmudną a tak niewdzięczną. Wiemy, że gdzieindziéj rządy poświęcają znaczne fundusze na zbieranie danych statystycznych i ogłaszają je dla wiadomości publicznéj; u nas, dane, jeżeli już i są jakie, spoczywają po większéj części w archiwach. Pomimo, że droga do prac statystycznych nie jest wcale usłaną różami, ośmielamy się szachęcić pana Załęskiego do dokończenia swéj cennéj pracy, czém wyświadczy ogółowi jednę z lepszych usług w dziedzinie naukowéj. *Ed. P.*

ROZMAITOŚCI.

Oświata kobiet. Wobec głosów wstecznych, jakie jeszcze nie rzadko spotykamy w naszej prasie peryjodycznéj o kwestyi wykształcenia i pracy kobiet, nie bez interesu będzie podanie kilku słów o postępach wykształcenia kobiecego w Indyjach. Przekona to może rozmaitych zwolenników Dra Bischoffa (fanatycznego przeciwnika równouprawnienia kobiet), których i u nas nie brakuje, że nasze kobiety zasługują na taką przynajmniéj pieczę o ich naukę, jak indyjskie. Oto, co czytamy w jednym z dzienników ekonomicznych. Wciągnięcie kobiet w koło kultury europejskiej, zaczyna budzić wielki interes nawet w Indostanie; szczególniéj zaś mężczyzni z plemienia Hindusów, którzy zakosztowali dobrodziejstw kultury zachodniej, starają się przyswoić tę kulturę swoim żonom i córkom. Już przed pięćdziesięciu laty utworzyło angielskie towarzystwo misyjne ośm szkół w Kalkucie, i powierzyło je opiece dam angielskich; szkoły te wychowały 214 dziewcząt. W roku 1826 szkoły te wcielono do szkoły centralnej, na którą bogaty krajowiec *Rajah Budanath* ofiarował 20,000 rupij. Większa część uczennic należała jednak do klas niższych; dopiero w roku 1849 założyła p. Bethune szkołę dla wyższych stanów Kalkuty. Obecnie wychowanie kobiece w Indyjach tak dalece postąpiło, że istnieje 2,000 szkół dla dziewcząt, których tam uczęszcza 50,000. Jeżeli jednak zważymy na niezmierne obszary kraju, który ma tyle gruntu co $^2/_3$ Europy, przyznać wypada, że ten postęp na milijony mieszkańców nie jest jeszcze zadawalniającym. Trzeba także dodać, że wielka liczba panien i kobiet indyjskich wolną jest od wszelkiego wpływu szkoły. Są one zamknięte całe życie w *Zenana* (gmach dla kobiet); i jeżeli się nie uda zanieść tam światła wiedzy, nigdy stamtąd nie wyjdą, aby go same poszukać. Z tego względu utworzyła się oddzielna klasa nauczycielek, zwana *nauczycielkami Zenana*, które podobnie jak angielskie *daily governesses* (lub po prostu nasze guwernantki), udzielają lekcyje w domach bogatych dam indyjskich. Urządzenie to byłoby bardzo dobrem, gdyby nie jedna wielka niedogodność. Większa część dam zajmująca się tylko co wspomnianem nauczaniem, należy do rozmaitych towarzystw misyjnych, a za główne sobie miała zadanie, nawrócić uczennicę na wiarę chrześcijańską. Między ukształconemi więc hindusami (męszczyznami), którzy chrześcijanami zostać nie pragną, powstało życzenie zaznajomienia swych żon i córek z kulturą nowożytną, bez potrzeby zrzekania się ojców swych wiary. Życzą sobie przedewszystkiem oddzielnego seminaryjum, w którémby panny i mężatki indyjskie kształciły się same na nauczycielki.

Miss Carpenter, tylokrotnie już wzmiankowana, gdy idzie o sprawę kobiet, poświęciła większą część swego życia popieraniu ukształcenia kobiet w Indyjach; ale i ona zbyt po misyjonarsku zapatrywała się na tę kwestyję aby ze swych usiłowań należyte mogła zebrać owoce. Otóż od roku utworzyło się w Anglii towarzystwo, którego zadaniem jest dążyć do przytoczonego wyżéj celu niezależnie od wszelkiej manii prozelityzmu. Towarzystwo to wysyła niezależne panie angielskie na *Zenana-nauczycielki* do Indyi.

Zwyczaj wczesnego wychodzenia za mąż w Indyjach sprawia, że dziewczęta, chociaż w dziecinnym wieku do szkół uczęszczały, opuszczają je bardzo wcześnie. Zaczynają naukę w siódmym roku życia, kończą ją zwykle w 9 lub 10.

W dniu 24 lutego r. b. *Babu Keshub Chunder Sen*, pan możny, który długo żył w Anglii i życie tamtejsze poznał dokładnie, miał w Kalkucie wobec nader licznie zebranej publiczności odczyt: *o polepszeniu wychowania kobiet indyjskich.* Podał on kilka projektów, których urzeczywistnienie zbliżyłoby życie indyjskie do angielskiego, które tak podziwiał. Powiedział, iż miał szczęście zbadać tajemnicę czystości życia domowego w Anglii, w którem tkwi zarazem szczęście stosunków towarzyskich. Spostrzeżenia jego doprowadziły go do przekonania, że to, czem jest Anglija, zawdzięcza *wyższości swoich kobiet.* Mówca oświadczył się za koniecznością założenia szkół normalnych i seminaryjów, w którychby przez wychowanie dokonano zupełnéj reformy życia kobiecego. Powiedział dalej, że potrzeba koniecznie nadzorczyni, któraby umiała ocenić, jakiego rodzaju ma być praca w szkołach dla dziewcząt lub po domach prywatnych. Potrzebne są także klasy, w którychby mężatki lub starsze dziewczęta pobierały nauki; w Kalkucie wartoby ich założyć ze trzydzieści.

Tym i podobnym w ogóle usiłowaniom nie można odmówić wielkiej pochwały. Przecież wiadomą jest rzeczą, że mężczyzni indyjscy są dosyć obdarzeni od przyrody; dlaczegóżby płeć żeńska pod tym względem niżéj stać miała? Miejmy nadzieję, że próby szlachetne powiodą się zupełnie i że Indyje zbiorą z oświaty kobiet żniwo obfite! (*G. H.*)

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawca, Wacław Szaniawski. Redaktor, Henryk Perzyński.

☛ Patrz Dodatek